Nr. 36. We Lwowie dnia 9. września 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Bruno Abakanowicz.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Było to w końcu lat siedmdziesiątych, a więc w czasie, gdy w stolicy Galicji najżywiej biło tętno życia narodowego: w początkach ery konstytucyjnej. Świeżo z najazdu Niemców oczyszczony kraj nasz poczynał żyć życiem własnem. Z niewyczerpanym, jak się zdawało, zasobem energji wzięto się do pracy nad kulturalnem i ekonomicznem podniesieniem zniszczonego obcą gospodarką kraju. Ze wszystkich dzielnic Polski i z emigracji ciągnęli do Galicji, jak żórawie na wiosnę, wszyscy ci, którym było za ciasno i nieswojsko, za mało przestrzeni i swobody, by wyładować cały zapas swych zdolności i wiedzy, by urzeczywistnić cząsteczkę tajonych marzeń lub wprowadzić w życie swe programy. — Urządzenia autonomiczne, spolszczony uniwersytet i niedawno otwarta „jedyna polska politechnika", nowe dwa ogniska polskiej nauki, dawały szerokie i wdzięczne pole do pracy dla swoich w swoim domu. — Nepotyzm i protekcjonalizm, pasożyty toczące dziś organizm Galicji, nie były się jeszcze tak hojnie rozkrzewiły, to też „młodzi uczeni" mieli pewne szanse stać się kiedyś bez specjalnych protekcji „starymi profesorami", chętnie się przeto garnęli do politechniki i uniwersytetu adepci nauki z innych zaborów. W gronie ówczesnych docentów prim trzymali — tak swą wiedzą, jak oryginalnością i nowością głoszonych nauk, szerokością poglądów dwaj młodzi uczeni przybyli z za kordonu. Jeden wykładał na uniwersytecie filozofję, słynął ze swej swady, — i pociągał swą ogromną wiedzą, sięgającą daleko po za oklepane formułki patentowanych filozofów, mówię tu o Juljanie Ochorowiczu, przewódcy pozytywistów warszawskich, drugim był dwudziestokilkoletni docent mechaniki i asystent fizyki przy politechnice B r u n o A b a k a n o w i c z. Elektrotechnika której de facto poświęcał się Abakanowicz była podówczas najmłodszą, już wtedy najbardziej obiecującą córą fizyki stosowanej, lecz była wiedzą nawet zagranicą nie uznawaną za naukę, nie głoszono jej jeszcze „ex cathedrae" nie urządzano tak wspaniałych, jak to dziś widzimy pracowni wyłącznie temu działowi fizyki doświadczalnej poświęconych, a u nas była całkiem nieznaną i nieuprawianą. A b a k a n o w i c z b y ł p r z e t o j e d n y m z p i e r w s z y c h u c z o n y c h e l e k r o t e c h n i k ó w, a p i e r w s z y m P o l a k i e m — k t ó r y w i e d z ę t ę t r a k t o w a ł j a k o n a u k ę, i p r a c o w a ł n a d j e j d a l s z y m r o z w o j e m.

Abakanowicza i Ochorowicza wiązały węzły nietylko zażyłej dawnej przyjaźni, lecz i wspólne obydwom apostolstwo nowych, nieznanych i mało uznanych teorji naukowych, z tem zaś wiązało się ściśle i apostolstwo postępowych idei i światopoglądów, które chcieli zaszczepić na gruncie galicyjskim. Przyjaciele i koledzy mieszkali razem, a na tygodniowych zebraniach, gromadzili się w ich skromnem, napoły studenckiem mieszkaniu przy ulicy Akademickiej, wszyscy, którym postęp kraju naszego leżał na sercu. — Młodzi uczeni, artyści, literaci, publicyści i politycy — schodzili się tam by dyskutować nad teraźniejszością i snuć plany na przyszłość. Mówiono o polityce i położeniu ekonomicznem kraju, o sztuce i literaturze, o teatrze i najnowszych zdobyczach wiedzy, a obok tego robiono doświadczenia z telefonem i mikrofonem, z dynamomaszynami i z integratorem. — Wpływ tych dwóch młodych uczonych na ówczesną inteligencję lwowską był ogromnie doniosły, zapał ich i zamiłowanie do nauk udzielały się otoczeniu, przepowiadano im świetną przyszłość; patrzano na nich jak na dwie nowe gwiazdy na ciemnem niebie ówczesnej nauki polskiej. Dużo się z tych przepowiedni ziściło, lecz w Paryżu, nie w atmosferze życia lwowskiego. Sławy i uznania dobili się młodzi przyjaciele w stolicy Francji — dokąd po kilku latach pobytu we Lwowie przenieśli się wraz z swym zapałem i szczerą chęcią służenia nauce. Po kilku

latach pobytu wrócił Ochorowicz do kraju, zdawszy w Paryżu egzamin na „znakomitego uczonego-filozofa“ i „niepośledniego badacza przyrodnika“. Abakanowicz pozostał w stolicy świata; dorobił się tam sławy i dużego majątku.

Oto kilka suchych biograficznych szczegółów z życia przedwcześnie zmarłego uczonego, cieszącego się rozgłosem na obu półkulach.

Bruno Abakanowicz urodził się w roku 1852 w Wiłkomierzu w gub. Kowieńskiej. Politechnikę, wydział dróg i mostów, ukończył w Rydze, skąd wkrótce przybył do Lwowa, by objąć miejsce asystenta fizyki przy tutejszej politechnice. Prace swe z mechaniki i matematyki stosowanej, ogłaszał w Pamiętniku akademji umiejętności, w Kosmosie, i w Ateneum. Od roku 1877 redagował dodatek do czasopisma „Tydzień“ poświęcony sprawom wystawy krajowej, rolnictwu i przemysłowi. Z celniejszych prac naukowych, wymienić musimy w roku 1876 wydany „Zarys statyki wykreślnej“ dalej „Integrator, krzywa całkowa i jej zastosowanie w mechanice budowniczej“. Najcenniejszą z prac z dziedziny elektrotechniki był w Krakowie w 1888 r. wydany: „Nowy sposób budowy zwojów do maszyn dynamo-elektrycznych.“ — Ze Lwowa, przeniósł się Abakanowicz w roku 1880 do Paryża, gdzie początkowo brał udział w redakcji czasopisma „Lumiére electrique“, wkrótce atoli wybitne jego zdolności w stosowaniu elektryczności do praktyki, jak ulepszenia porobione w wozach elektrycznych, szczególnie zaś patenta na ulepszone lampy elektrycznej, zastosowanie elektro-magnesów do sygnałów kolejowych etc. dały mu europejski rozgłos znakomitego fachowca. Wiemy jak amerykanie cenią pomysłowość fachowego wykształcenia — i tym właściwie zaletom należy przepisać fakt powołania Abakanowicza na fachowego reprezentanta Stanów Zjednoczonych w oddziale elektrotechnicznym podczas wystawy w roku 1889, a następnie na generalnego agenta anglo amerykańskiego towarzystwa elektrotechnicznego. Miejsce to zapewniło byłemu docentowi politechniki lwowskiej bardzo poważne dochody — a wspaniale urządzona pracownia dała mu możność do robienia licznych doświadczeń, które następnie znalazły zastosowanie w praktyce.

Bruno Abakanowicz, był, jak to spis jego prac z mechaniki świadczy i wybitnym fizyko-matematykiem, lecz i tutaj także odróżniał się on darem wynalazczym; i tak nap. ściśle teoretyczno matematyczne prace nad równaniami linji krzywych doprowadziły go do bardzo dowcipnie obmyślanych przyrządów, mających dziś powszechne zastosowanie, do budowy: i n t e g r a t o r a i i n t e g r a f a. Integrator jest to przyrząd do mierzenia pola ograniczonego linjami krzywemi, względnie do mierzenia ilości pracy wykonywanej przez maszynę parową w pewnym czasie lub do oceny elektryczności, która przepłynęła przez dany obwód. Drugi instrument i n t e g r a f albo i n t e g r o g r a f jest znowu dowcipnie nader obmyślonym mechanizmem do kreślenia krzywej całkowej, mającej zastosowanie przy obliczaniu równań z mechaniki analitycznej. — Oba te przyrządy, powszechnie dziś używane przez matematyków i mechaników opisał Abakanowicz po polsku w „Ognisku“ — książce zbiorowej wydanej w roku 1882 na cześć Jeża.

Oprócz zwyż wymienionych zbudował Abakanowicz cały szereg przyrządów do wykreślania krzywych, które dotąd kreślić trzeba było za pomocą metod analitycznych — obrachowując poszczególne punkta i łącząc je z sobą. Wynalazki te ułatwiły ogromnie żmudną pracę matematyków. Nazwy tych przyrządów, wedle krzywych, do których kreślenia służą są: spirograf, do rysowania linji spiralnych, parabolograf, eksponencyograf i t. d. Mimo, że Abakanowicz nie znalazł tego uznania w kraju, na jakie istotnie swemi zdolnościami zasługiwał, że go pomijano przy obsadzie katedr fizyki i elektrotechniki, to jednak nie zachował on żadnego żalu, żadnej gor yczy, wspominał o swoim pobycie we Lwowie z przyjemnością i w kraju naszym bywał częstym gościem.

Przeszedłszy twardą szkołę wynalazcy Polaka szczególną opieką otaczał rodaków naszych w Paryżu oddających się pracom nad nowymi wynalazkami. A o tem, jak mu leżało na sercu rozwinięcie zamiłowania do samodzielnych badań i pomysłów w zakresie elektrotechniki, świadczy hojne stypendjum ufundowane przed paru miesiącami w celu dopomożenia młodym elektrotechnikom do zwiedzenia wystawy paryskiej. Przed dwoma tygodniami wyjechało ich kilkunastu z Warszawy, Lwowa i Krakowa do Paryża, i trafili na pogrzeb swego mecenasa.

Z wielu wybitniejszymi naszymi uczonymi, literatami i artystami Abakanowicz, serdeczne utrzymywał stosunki. W sierpniu i wrześniu rok rocznie w rezydencji swojej pod Paryżem w Parc St. Mener lub w Ploumonach w Bretanji gościł u siebie szczerego swego druha H. Sienkiewicza, A. Porębowicz. Gerymski, Wyczółkowicz, Hirszberg ze Lwowa obok wielu przyjaciół z Francji i Anglji, zasiadali nie raz do stołu w wspaniałej sali feudalnego zamku w Ploumonach.

Abakanowicz zmarł młodo, bo w 38 roku życia, — w chwili gdy miał wszystko o czem dusza uczonego badacza zamarzyć może, gdy mógł bez troski o chleb powszedni oddać się całkiem badaniom naukowym w wspaniale urządzonej pracowni i zacząć pracować nie dla chleba lecz dla nauki, a jego ogromne teoretyczne i praktyczne wykształcenie i znakomite zdolności dawały rękojmię, że mógł by rzetelnie przyczynić się do rozwoju polskiej nauki. Atoli, to co pozostawił po sobie — jest dorobkiem naukowym nie małej wagi. W historji nauk w Polsce Abakanowicz — pozostanie pierwszym uczonym elektrotechnikiem, a jednym z najwybitniejszych fizyków, w Europie.

Dr. J. Roszkowski.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

10) Obraz historyczny.

VII.

Nie było to jednak wojsko, jeno hufiec jazdy, na którego czele jechało kilku panów w jasnych płaszczach. Głowy tych ostatnich okrywały nie hełmy z grzebieniami, lecz trójgraniaste, złotem bramowane kapelusze. Przybywali od strony Domażlic, ponieważ jednak garnizonu tam nie było, każdy mógł się łacno domyślić, że jadą z Pilzna.

Gwar ucichł nagle w licznie zgromadzonym tłumie, gdy na dany rozkaz jeźdzcy obnażyli pałasze. Brzęk pochew, błysk żelaza w powietrzu przecięły wszelakie rozmowy. Na twarzach kobiet odmalował się przestrach, mężczyznom zasępiły się chmurne czoła.

Gdy dwaj wodzowie, jadący na czele, zeskakiwali z siodła, szmer podziwu przebiegł zgromadzenie:

— Wicie, wicie, sam pan z Tranowa!

— Ho, a ten drugi to rządca Kosz z Kęt!

Jakoż rzeczywiście był to sam Maksymiljan Lamminger, szlachetnie urodzony pan z Albenreuthu, który pełnił w owym czasie obowiązki starosty w kraju pilzneńskim. Pan Chodów, mężczyzna lat pięćdziesięciu, średniego wzrostu, szedł pewnym krokiem, z dumnie podniesionem czołem. Blado niebieskie, zimne jego oczy patrzyły obojętnie, ale i przenikliwie zarazem na zgromadzony lud. Wiatr jesienny rozwiewał mu płaszcz, luźnie zarzucony na ramiona i poruszał rude kędziory peruki, okrywającej głowę.

Na ostro wypowiedziany rozkaz terhanowskiego rządcy tłum się rozstąpił, dając drogę panu. Lamminger posuwał się naprzód wśród grobowego milczenia, patrząc przed siebie i zdając się na nikogo nie zwracać uwagi, gdy nagle — u samych drzwi prawie — spojrzenie jego spotkało się z płonącemi oczyma, co śmiało wpatrywały się w jego przybladłą, piegowatą twarz.

Takim wzrokiem iskrzącym się witał go młody góral z białą zawiązką na czole. W spojrzeniu tem malował się nie drżący strach niewolnika, lecz dumne poczucie osobistej godności człowieka wolnego. Jasno rude rzęsy Lammingera zamigały szybko, a wzrok jego spoczął po raz drugi na wyrazistem obliczu Koziny.

W tej samej chwili Iskra przecisnął się aż do Przybka, stojącego między dwoma kirysjerami i szepnął mu do ucha, wskazując drwiąco rude włosy Lammingera.

— Pan Bóg nie nadaremnie go naznaczył...

— Każdy łotr ma swoje piętno — odparł sucho Przybek. W tem rządca terhanowski wydał rozkaz, by obaj Przybkowie, Kozina i kilku najstarszych, umyślnie tu zawezwanych gospodarzy, weszło do izby. Kozina, przestępując próg, obejrzał się; spojrzenie jego szukało żony, dzieci...

Ujrzał ich wnet. Hanka, blada z zapłakanemi oczyma, tłoczyła się w ślad za nim. I dziwna rzecz: terhanowski rządca, który strzegł drzwi, pozwolił wejść nietylko jej, lecz i starej matce z dziećmi, a także żonom wszystkich wezwanych na wójtowstwo, jako też Marynce od Przybków, która dotarła aż tu za ojcem i dziadkiem.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę panów, którzy wiedli w rogu izby, u dużego stołu o rzeźbionych nogach, żywą ze sobą rozmowę.

W pobliżu innych Chodów, nie zlewając się jednak z nimi, stał Jerzy Syka, wójt, którego nazywano — dla świetnej wymowy — „prokuratorem“. Starzy gazdowie pozierali na panów badawczo i z pewnym odcieniem obawy. Większość jednak oczekiwała z chmurnym spokojem dalszych wypadków. Niewzruszoną, kamienną twarz miał zwłaszcza Maciej Przybek, przerastający o głowę całe zgromadzenie.

Natomiast Jan Kozina, rzucał raz wraz szybkie spojrzenia to na panów, to na Sykę, to znowu się oglądał i dawał znaki nie żonie, lecz matce. Stara zauważyła to niebawem i docisnęła się aż do niego. Tymczasem panowie przestali rozmawiać i rządca Kosz, stary wojak z szeroką blizną nad prawem okiem, jął odczytywać zgromadzeniu jakiś dokument, wymawiając każde słowo niezmiernie ostrym i podniesionym tonem.

Stara matka Jana nie słyszała jednak głośnego czytania. Stała, jakby piorunem rażona, tak niesłychanie silne wrażenie wywarło na nią kilka słów syna.

— Mamo, panom nie chodzi o mnie, ino o nasze dokumenty, o nasze przywileje — rzekł cichym, pośpiesznym szeptem. — Dobrzeście je schowali?

Tyle jeno powiedział, ani słóweczka więcej. Dla matki jednak było to wystarczające.

Wiedział więc, że dokumenty u niej się znajdują! Skąd? Kto powiadomił go o tem? Przecie nie Syka. Musiał onego wieczora zauważyć sam, dostrzedz... I milczał — jako głaz milczał, aż teraz dopiero troszczy się o ich całość... Takie myśli przemknęły przez siwą głowę Chodki. Podniosła zdziwione oczy na syna. Ale ten się już nie obejrzał ani razu, jeno słuchał z całą uwagą, co Kosz wygłaszał donośnym głosem, stojąc przed zgromadzeniem, niby słup granitowy. Rządca kętski zaczął od tego, że po dzikiej, krwawej rebelji chłopskiej, która szalała przed dwu-

dziestu laty[1]), wszelkie prawa i przywileje, nadane przed owym buntem, zniesione zostały patentem najwyższym, jako źródło i główna przyczyna zatargów poddanych z panami. Pomimo to jednak tam i ówdzie, a między innemi i w wioskach chodzkich, nie chciano wydać w ręce władzy dokumentów, świadczących o prawach i przywilejach, które faktycznie przestały już istnieć, w złudnem, a szkodliwem mniemaniu, że nie straciły one jeszcze znaczenia. Mniemanie to stało się powodem, że — jak to miało miejsce w tej wiosce, naprzykład — poddani dopuszczają się gwałtów, a nawet w uniesieniu jak najbardziej karygodnego zuchwalstwa ośmielili się, powołując się na dawne prawa i swobody, podnieść rękę na oficjalistów Jego Miłości szlachetnie urodzonego Maksymiljana Lammingera, starosty kraju pilzneńskiego.

Jakkolwiek w nieprzebranej swej dobroci i łaskawości Jego Miłość raczy przebaczyć Janowi Sładkiemu — po przezwisku Kozinie — tudzież tym, którzy mu pomagali, opór jego woli, nakazuje jednak surowo, jako starosta pilzneńskiego kraju, w imię sprawowanej władzy, aby dokumenty i pergaminy, które się stały powodem zajścia, natychmiast i dobrowolnie były wydane, w przeciwnym zaś razie ostra, ale słuszna i sprawiedliwa kara dosięgnie wszystkich winnych...

Kosz skończył czytać. Prawica, w której trzymał fatalny papier, opadła, natomiast świdrujące oczka rządcy jęły szybko biegać po twarzach górali, aby się przekonać, jakie wrażenie wywarł na nich dopiero co odczytany rozkaz.

Lamminger przyglądał się również zgromadzonym chłopom właściwem sobie, zimnem i obojętnem spojrzeniem, zatrzymując je najdłużej i najczęściej na Kozinie, którego płomienne oczy tak go ubodły zaraz na wstępie.

Gdy czytanie umilkło, w izbie zapanowała głęboka, martwa cisza. Wrażenie rozkazu było widoczne, przygnębiające...

Kozina obejrzał się na Sykę w nadziei, że ów „prokurator" zabierze przecie głos. Ale Syka milczał, jako i inni. Wtedy, nie namyślając się długo, zaczął mówić sam:

— Prawda, żech się bił z czeladzią dworską i rządcą, ale rządca kazał ściąć znaczoną lipę na mojej miedzy. Broniłem jej, bom musiał bronić. Należała ona do Kozinów, od niepamiętnych czasów była własnością nieboszczyka mego ojca, dziadka i pradziadka, jako dobrze wiedzą o tem ci oto starzy gazdowie. Temu też dziękuję za łaskę, ale do winy się nie poczuwam. — Skrony zaś onych pergaminów, toć przecie sami panowie wiecie doskonale, jako mają one do siela swój walor. Mają i mieć będą, bo my, Chodowie, nie bralichmy udziału w onej chłopskiej rebelji. Nikto z nas ani ręki nie podniósł. A więc rozkaz z Wiednia nie może nas pozbawić należnych praw, bo się odnosi ino do tych krajów, kany się chłopi buntowali.

[1]) 1680 r.

Jan mówił z początku głosem przyciszonym, jakby się wahał, lub szukał wyrazów, ale się wnet ośmielił i słowa płynęły mu z ust wymowne, żywe, przekonywujące. Rumieniec okrył mu lica, oczy zapłonęły pięknym blaskiem. Odpowiedź jego rozpogodziła wszystkie czoła, zdjęła ludziom z serca kamień, co je przygniatał. Syka pozierał ze zdumieniem na młodego gazdę, który dotąd nie wydawał mu się godny zaufania w ważnych rzeczach. Stary Przybek kiwał potakująco białą głową, a syn jego spoglądał na Lammingera, to znowu na rządcę z takim uśmiechem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nadaremne są wasze podstępne wybiegi, nie damy się pojmać w sieci". Ci zaś, którym głowy opadły były na pierś, podnieśli je śmiałym ruchem. Jasnorude rzęsy Lammingera zamigały szybko i przysłoniły źrenice, w których teraz zapaliły się iskry gniewu i nienawiści. Szlachetnie urodzony pan stłumił jednak szybko wzruszenie i rzekł z udanym spokojem:

— Słyszeliście wszyscy najwyższy rozkaz. Radzę, abyście go usłuchali. Oporni będą uważani za buntowników, za rebeljantów i odpowiednio karani. A nie trzeba wam przypominać chyba, jaki los spotkał niedawno zuchwałych buntowników...

Z akcentu, którym mówił, poznać można było odrazu, że język czeski nie był jego mową ojczystą. Po wypowiedzeniu tych słów kilku, skinął na Kosza, a ten jął wypytywać Chodów, jednego po drugim, czy wiedzą co o pergaminach. Pierwszy, starzec nawpół ślepy, odpowiedział:

— Nie wiem, Wasza Miłość.

Tak samo brzmiała odpowiedź drugiego, trzeciego — tak samo powiedział stary Przybek. Przyszła nareszcie kolej na olbrzymiego jego syna. Ów wpatrzył się na chwilę w gniewną, zapłonioną twarz rządcy i odrzekł spokojnie:

— Nie wiem, ale gdybym nawet wiedział, poradziłbym milczeć...

Rządca, zakląwszy z cicha, zwrócił się do Koziny i roześmiał ze zjadliwą ironją, gdy i ten odpowiedział, podobnie jak wszyscy: „Nie wiem!"

Piegowata twarz Lammingera zbladła, jak płótno, a głos jego drżał wyraźnie, gdy rzekł:

— Te stare swoje szpargały oddacie mi przecie, ale wtedy będzie już zapóźno. Złamie się wasz upór, rozpryśnie, jako szkło, gdy wojsko, które tu pozostanie, wyciągnie wam ostatni grosz i ostatni kęs chleba z komory, gdy wy wszyscy, tu obecni, pójdziecie do więzienia, a jeden z was, albo i dwóch, znajdzie śmierć na szubienicy!...

Przy ostatnich słowach ogarnął mściwem spojrzeniem smukłą postać Koziny, który i teraz nie spuścił oczu przed panem.

Lamminger skinął na żołnierza, aby podał płaszcze jemu i innym oficerom, zaczem na odchodnem już rzekł głośno do rządcy Kosza:

— Czyńcie waszą powinność. Daję Wam władzę nieograniczoną... D. c. n.

Tłumacz. *M. Wysłouchowa.*

MROKIEM.

Szarą godziną, cichym mrokiem,
Od pól dalekich i od boru,
Powietrzem wolnem, a szerokiem,
Płynie powoli pieśń wieczoru.

Płynie po rosie, z echem leci,
Na serce smutkiem ciężkim pada,
Łzą brylantową w oku świeci,
Na progu chaty — smętna — siada...

Niby to pieści i kołysze,
Duszę oplącze i omota,
Aż zasłuchane w nocną ciszę
Serce zabierze ci tęsknota...

Kędyś nad pola, nad zagony
Płynie i płynie pieść — tęsknica,
Z sobą w dalekie niesie strony
Skradzione serce — czarownica.

Marja Markowska.



CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

4) PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

Za każdem poruszeniem galerników zgrzytały kajdany, nieodłączni towarzysze ich spoczynku: ten zgrzyt pobudzał jeszcze wyobraźnię Rocci.

Jakże łatwo byłoby umknąć przez to okno!

Wtem z oddali, a jednak wyraźnie zabrzmiał głos dozorcy:

— *Czuwaj!* [1])

Po chwili drugi głos, bliższy, zawtórował mu:

— *Czuwaj!*

Trzeci, jeszcze bliższy i jeszcze donioślejszy, powtórzył:

— *Czuwaj!*

Czwarty, blizki bardzo, krzyknął:

— *Czuwaj!*

Wreszcie odezwał się jeszcze jeden głos, pod samem oknem sypialni, w której Rocco leżał, snując marzenia zuchwałe...

Odpowiadały tym nawoływaniom głosy dalekie, coraz dalsze; cała wyspa rozbrzmiewała echem tego słowa.

I znowu te same głosy rzuciły odpowiedź:

— Baczę!

Potem zaległo milczenie.

Rocco, osłupiały, zgnębiony, próbował jeszcze nawiązać rozwiane strzępy marzeń; zaczynał snuć je dalej, gdy po kwadransie znowu dało się słyszeć:

— Czuwaj!

Przeciągłe, doniosłe okrzyki szły z ust do ust, płynęły z jednego posterunku do drugiego, zbliżyły się, przebiegły znowu pod oknem Rocca; a gdy okrążyły wyspę dokoła, znowu z tego samego punktu rozległa się odpowiedź i płynęła w tym samym kierunku:

— Baczę! Baczę!

I tak co kwadrans! Co kwadrans!

Gdy te głosy nawoływały się i odpowiadały sobie wzajem, śpiący galernicy przewracali się na twardych posłaniach, zgrzytając kajdanami.

Ale Rocco nie mógł usnąć; co kwadrans podskakiwał na sienniku: Te głosy wierne i czujne mówiły mu:

— Czuwamy z bronią w ręku, nie wypuścimy ztąd nikogo, będziemy tak brzmieć wśród nocy, dzień po dniu.

Rocco zadrżał z wściekłości bezsilnej; dusiła go zmora.

Co kwadrans! Aż do morza, aż pod sam strop gwiaździsty płynęły te głosy silne, czujne i wierne. Nie, on nigdy uciec nie zdoła.

Gdy nad ranem rozległy się znowu, twarde serce ojcobójcy skruszyło się, — zapłakał pierwszy raz w życiu.

III.

Dyrektor zakładu karnego w Nisida siedział w dużym fotelu i czytał dzienniki. Zwykł był odczytywać je od deski do deski bardzo powoli, jak gdyby chciał wrazić sobie w pamięć każde słowo; rozkoszował się, rozmyślał nad każdem słowem, jak to czynią ludzie, żyjący zdala od wielkich środowisk, odosobnieni od świata, lecz nie obojętni na to, co się dzieje na jego szerokiej widowni.

[1]) Po włosku to hasło brzmi: „All'erta sentinella" — Baczność, szyldwachy: zaś odpowiedź: „All'erta sto!" Mam się na baczności.

Ten zacny człowiek w domu swym, wśród rodziny, pozbywał się surowości, zachowując tylko dobroć przyrodzoną. Od czasu do czasu wstrząsał głową, dowiadywał się widocznie smutnych wieści.

Był gorącym patrjotą i dzielnym żołnierzem. Ani jego odwaga, ani zapał nie ochłodły w galerach. Wyznaczono go na dyrektora zakładu karnego w Nisida, by jego energję spożytkować.

Po bitwach pod Lissą i Custozzą, przyszły dni ciemne, gwiazda Włoch zbladła.

Dyrektor, czytając gazety, wstrząsał głową, bo mu żal było, że teraz, w r. 1866, nie wolno mu się bić tak, jak w r. 1860; powiadał sobie, że choć wszędzie i na każdem stanowisku można służyć krajowi, nawet wśród galerników — to jednak w danej chwili wolałby narażać życie na polach bitew, niż pałać szlachetnym, lecz bezsilnym gniewem na wroga. Był smutny, jak wszyscy ci, którzy urodzeni do wojny, kochając ją miłością dziką, zmuszeni są żyć wojowniczemi wspomnieniami jedynie.

— Czy jakie złe wieści? — spytała go żona, która siedząc opodal, szyła koszulkę dziecinną.

— Bardzo złe — odpowiedział.

Pochyliła głowę nad robotą i umilkła. Pytała nie przez zainteresowanie się wojną lub polityką; chciała się poprostu odezwać się do męża, przerwać to zbyt długie milczenie.

Była to kobieta młoda, szczupła, o twarzy smutnej, bladej, ubrana w skromną czarną sukienkę. Co chwila spoglądała z niewymowną miłością na dziecko, które siedziało na dywaniku i wycinało obrazki z jakiegoś pisma ilustrowanego. Dziecko trzyletnie, chłopczyk, było bledziutkie, miało włosy kasztanowate, lśniące i twarzyczkę słodką i zadumaną, jak matka; było bardzo grzeczne, lubiło namiętnie obrazki, wycinało je porządnie, dokładnie, bez nadwyrężenia figur, bez kaleczenia sobie paluszków.

— Mario — odezwał się kapitan Giglio do synka.

— Słucham, tatusiu! — odpowiedział chłopczyk, podnosząc oczy duże, pełne dobroci.

— Co ty tam wycinasz?

— Żołnierzy.

— Czy ładni?

— Bardzo ładni, ojczulku.

— Przyjdź mnie pocałować.

Chłopczyk wstał posłusznie. Był na swój wiek duży, lecz wątły, jak matka.

Zbliżył się do ojca i podał mu rączkę, a gdy się ucałowali serdecznie, położył mu główkę na kolanach, jak gdyby był zmęczony lub senny. Jego blada twarzyczka podobna była do kwiatu.

— Czy on czasem nie chory? — pytał ojciec z niepokojem.

— Nie, nie — zaprzeczyła matka.

— Powinnabyś wyprowadzić go na spacer. Czemu nie wychodzi codziennie? Czy Gennaro Campanile nie naprawił jeszcze wózka?

— I owszem, naprawił — odpowiedziała cicho.

— A czy przyniósł półkę na książki? Już od trzech tygodni na nią czekam.

— Przyniósł.

— Więc czemu nie zawieszona?

— Ja i Grazieta nie możemy jej podnieść — taka ciężka... Wiesz, że nie jestem silna — dodała z uśmiechem.

— Trzeba było zawołać Gennara, on ją zrobił, mógł też ją zawiesić.

Młoda kobieta spojrzała na męża z niepokojem, rumieniec wystąpił na jej twarzyczkę, w oczach zapaliły się dziwne błyski. Mąż popatrzał na nią i nie mógł pojąć, co jej się stało.

— Postaramy się przybić same — rzekła po chwili, bardzo cichutko, jak gdyby zawstydzona podwójnie, i swymi rumieńcami i swą opieszałością.

— Ależ moja droga, ty się tak łatwo męczysz — mówił kapitan z ojcowską niemal tkliwością. — Sprowadź Gennara, zaraz przyjdzie i półki zawiesi, ot, tutaj, na prawo.

— Nie, nie! — odparła żywo. — Wolę się sama zmęczyć.

Teraz zrozumiał i poczciwa jego twarz zasępiła się.

— Nie chcesz mieć galernika w domu? — spytał powoli, z naciskiem.

Spojrzała na niego błagalnie, przepraszając go oczyma za ten wstręt mimowolny. Po chwili szepnęła:

— Mamy ich w domu od rana do wieczora.

— A oni tobie sprawiają odrazę?

— Tak — przyznała cichutko.

— Nie masz w sobie miłości chrześcijańskiej — rzekł, siląc się na surowość.

— To prawda — przyznała znowu.

— Wszak to są ludzie i chrześcijanie, Cecyljo.

— Lecz kradli, zabijali.

— To są ludzie i chrześcijanie — powtórzył.

Ona umilkła. Szyła zawzięcie, gorączkowo. Coraz silniejsze rumieńce paliły jej policzki.

Nagle dziecko podniosło główkę, spojrzało na ojca, potem wyciągnęło rączyny, objęło go za szyję i ucałowało serdecznie.

Ojciec, przejęty nagłem wzruszeniem, głaszcząc chłopca, spytał:

— Czy i ty nienawidzisz galerników?

Dziecko nie zrozumiało pytania.

— Galernicy to są ludzie nieszczęśliwi — rzekł mu ojciec półgłosem.

— Nieszczęśliwi — powtórzył malec.

Dyrektor złożył dziennik porządnie, dokładnie, jak zwykli to czynić ludzie, pędzący życie regularne i odosobnione. Czas już było iść do biura. Sam sobie palto okurzył. Dziecko śledziło każdy ruch ojca.

Kapitan zbliżył się do żony i pocałował ją serdecznie.

— Każ przyjść Gennarowi. Niech półkę zawiesi. Każ mu przyjść zaraz — rzekła ze stanowczością gorączkową.

— Nie, kochanko, jeśli ci to sprawia przykrość — odparł pobłażliwie.

— Ależ nie, to mi przykrości nie robi — upewniła.

— Daj pokój, daj pokój. Nie mówmy o tem.

— Idę na spacer. Więc Grazietta zostanie sama z Gennarem.

— Ha, jak chcesz — rzekł wreszcie, odchodząc.

Lecz gdy mąż podążył do ciężkiego obowiązku, zmuszającego człowieka uczciwego żyć wśród złodziejów i morderców, ona nachyliła się nad dzieckiem i rozpłakała się gorzko. Te łzy długo tłumione, wylewane rzadko, były ciężkie i gorące, jak ołów rozpalony.

Z początku znosiła odważnie swe życie ponure, schodzące w zupełnem osamotnieniu lub w ciągłem zetknięciu ze zbrodniarzami.

Wszak była dziewczyną ubogą, sierotą, na opiece ciotki, żyjącą z pracy; zarabiała tyle tylko, ile starczyło na chleb powszedni. Taką poznał ją kapitan Gigli i poślubił z miłości. a może i przez litość, bo miał serce szlachetne.

Wychodząc za niego, wiedziała, że będzie mieszkała na tej wyspie, wśród galerników. On ją o tem uprzedził. A ona przystała. Powiadała sobie, że będzie się trzymała na uboczu, że się przytuli do tego zacnego człowieka i że on zastąpi jej świat cały.

Była wrażliwa na cierpienie zarówno, jak i na radość, lecz miała też dużo siły moralnej, właściwej duszom tkliwym i prawym.

Przybyła na wyspę w parę miesięcy po ślubie i zamknęła się w domu, aby się ustrzedz od wstrętnego widoku. Lecz ani drzwi, ani okna nie zdołały jej odgrodzić od nocnych nawoływań szyldwachów.

Ileż to spędziła nocy bezsennych, słuchając głosów przeciągłych, owych haseł tak długich, a powtarzających się co kwadrans, uparcie, nieubłaganie.

Wieczorem, gdy siedziała w mieszkaniu, które sobie urządziła skromnie, lecz gustownie, gdy do uszu jej dolatywał tylko szmer morza, chciała sobie wyobrazić, że mieszka sama na tej pięknej wyspie, pomiędzy niebem a ziemią, wśród zielonych wzgórz i wonnego kwiecia; lecz głos nieubłagany rozwiewał to złudzenie, wołał do niej bezlitośnie:

— Nie zapominaj! To galery!...

W jedną z takich długich, nieskończonych nocy przyszedł na świat Mario; dziecię odziedziczyło po matce organizm słaby, nosiło na twarzy ślad wszystkich zmor i nocnych przestrachów Cecylji.

Narodziny tego dziecka oświeciły i rozgrzały domowe ognisko, lecz to, że dziecina przyszła na świat w więzieniu, wśród galerników, truło uciechę matki; jej pocałunki zaprawne były żalem.

Naprózno Cecylja starała się ustrzedz syna i siebie samą od wszelkiego zetknięcia z przestępcami; kołyska, w której spało dziecię, wyrobiona była w warsztatach więziennych; jego pierwsze trzewiczki — na których widok serca macierzyńskie zwykły wzbierać czułością — były uszyte przez galernika.

Co na to poradzić? Gigli pobierał skromną pensję, nie mógł posyłać codziennie żony do Neapolu, a przytem w warsztatach więziennych można było kupować wszystko taniej, niż w sklepach.

To też Cecylja starała się ukryć swój wstręt, swą rozpacz i swoje strachy. Lecz gdy ujrzała męża, otoczonego tym zbrodniczym zastępem, to jej się serce ściskało z trwogi i tuliła dziecię do piersi.

Galernicy wiedzieli, że dyrektor jest najlepszym ze wszystkich — chłodnym, lecz sprawiedliwym, surowym, lecz nie okrutnym, więc zwracali się z każdą prośbą do niego, czując, że o ile możności stara się złagodzić ich ciężką, choć zasłużoną dolę. Cecylja w ich błagalnych spojrzeniach widziała groźbę i wściekłość.

Nie można jej było wyperswadować, że ci ludzie nie łakną krwi, że nie mają ukrytego noża w rękawie.

Nie puszczała nigdy Maria samego z Graziettą. Zdawało jej się, że mszcząc się za karę poniesioną, przez brutalną żądzę krwi, który z tych łotrów rzuci się na jej syna i trupem go położy.

Więc Mario wychodził z nią tylko, ona nosiła go na ręku, jak wieśniaczka, nie zważając na trud i ciężar, a skoro tylko dojrzała galerników, spuszczała oczy, aby ich nie widzieć.

Oni kłaniali jej się, zdejmując czapki, a że instynkt ojcowstwa kryje się na dnie serc najzatwardzialszych, więc stawali i przyglądali się pięknemu chłopczykowi.

Wtedy ona przyśpieszała kroku, uciekała niemal ze swojem dziecięciem.

Był jeden, którego spotykała wciąż na swej drodze; młodzieniec rosły, barczysty, miał twarz jasną, włosy rude, a oczy błękitne, przejrzyste; ponieważ nosił czapkę czerwoną, więc był skazany dożywotnio. Można było przypuścić, że się zaczaja i wyczekuje na matkę i na dziecko, patrzał na nich z tkliwością niewymowną i wodził za nimi okiem długo, dopóki mógł ich dojrzeć.

Czas złagodził obawy Cecylji, ale ich nie usunął. Starała się otrząsnąć ze smutku, była dla męża zawsze serdeczną i troskliwą, dbała o jego wygody, nie przyznawała się do swoich obaw: byłoby to obciążać zarzutem zacnego człowieka, który ją uchronił od niepewnej przyszłości, a może nawet od nędzy... lecz natomiast zamknął ją w więzieniu,

Dostrzegał on niekiedy jej wstręt mimowolny i przepraszał ją za takie życie. Więc ukrywała przed nim swe smutki i trwogi.

Cecylja była bardzo dobrą, oddaną swym obowiązkom, litościwą, to też wyrzucała sobie swą nieludzkość dla galerników. Jej mąż, surowy dla nich, lecz sprawiedliwy, słusznie jej powtarzał: „To ludzie i chrześcijanie, bardziej może nieszczęśliwi, niż winni“. (C. d. n.)

Z pism i książek.

Stanisław Eliasz-Radzikowski. Styl zakopiański. Lwów 1900.

Płaskie przestrzenie niegdyś lasem zarosłe i bagniskami pokryte wczesny wpływ obcej kultury i konieczność brania skądinąd gotowych już wzorów, a wreszcie idea, która nie pozwoliła gnuśnieć w bezczynnym spokoju i wygodzie, i późniejsze zaniedbanie sprawiło, że kościoły, zamki i warownie u nas budowane były po największej części przez obcych i według obcych wzorów, a chaty wieśniacze w sposób pierwotny, chociaż z koniecznem zachowaniem właściwych cech narodowych, klimatu, otoczenia i t. d.

Wszystko złożyło się na to, aby wieśniakowi naszemu nietylko polot fantazji, ale nawet dążność do względnej wygody odebrać.

Inaczej w górach. Lud bystrzejszy o wyobraźni silniejszej znajdował w rozmaitości kształtów przyrody szerokie pole do naśladownictwa, a utrudniony przypływ obcych pierwiastków dłużej pozwalał zachować oryginalność i świeżość motywów, z natury rzeczy nie tak już jednostajnych, jak u mieszkańca równin. Stąd pochodzi, że i chata góralska pod względem zewnętrznych kształtów i sprzęty a naczynia przez górala używane noszą na sobie piętno pewnego polotu wyobraźni, dalekiej może jeszcze od artyzmu, ale oryginalnej i swojskiej.

Czy artystyczne wyzyskanie tych oryginalnych górskich motywów do celów umiejętnej estetyki i architektury przyniesć może tę tak pożądaną rozmaitość w motywach zdobiących nasze pomieszkania, gdzie niepodzielnie rozsiadł się zepsuty barok?

Bezwątpienia, że tak. Ale czy doprawdy jesteśmy w zaraniu nowego stylu, specyficznie polskiego?

Estetycy i znawcy sztuki powiedzieli, że tak.

Witkiewicz, śp. Matlakowski, Eljasz-Radzikowski sądzą, że nic nie stoi na przeszkodzie wprowadzeniu chaty góralskiej na równiny całej Polski, dziennikarze obwołali już nową epokę architektury polskiej i wypada tylko poczekać na rozwiązanie kilku kwestji fachowych przez fachowców architektów, a będziemy mogli z dumą powiedzieć, żeśmy stworzyli, a względnie odkryli nowy styl architektoniczny „styl zakopiański“.

Dla architektów fachowych pozostaje do rozwiązania między innemi to ważne pytanie, czy chata góralska, względnie jej motywy będą na równinach możliwe, czy n. p. dom pp. Pawlikowskich przeniesiony dajmy na to na ulice Lwowa, lub w ogóle tam gdzie niema wspaniałych widoków tatrzańskich, a nawet górskiego powietrza, nie wyglądałby jak np. świątynia jońska na stepach czarnomorskich?

Za nim jednakowoż nadejdą odpowiedzi na to i na inne jeszcze pytania warto zastanowić się nad ozdobnie wydaną książeczką p. Stanisława Eljasz-Radzikowskiego p. t. ,,Styl zakopiański“ i zreasumować to, co autor ów o tym stylu sądzi.

A więc przedewszystkiem historja. Stanisław Witkiewicz odnalazł chatę góralską i bystrym umysłem dojrzał w niej wyższy i rozwinięty typ budownictwa drzewnego, na którego wszystkich częściach leży piętno pewnego stylu, pewnego motywu linij. „Od zacięcia belki do ostrego szczytu, od pazdura do ornamentów rzniętych wewnątrz, wszystko ma charakter linij przecinających się pod dość ostrym kątem. Tylko łukowato wygięte drzwi wchodowe wyrywają się z ogólnego charakteru i stanowią całość odrębną, niezależną, oryginalną i pełną. Wewnątrz w tej chacie wszystko nosi piętno upodobań artystycznych, tuż przy drzwiach przybity łyżnik, rznięty w jaworowem drzewie, na którym skupia się całe bogactwo góralskiej ornamentyki; obok półki ze świecącymi się misami polewanemi, wielkie kredensy, stoły i stołki, każda rzecz powszedniego użytku jest upiększona“.

Drugi Stanisław Matlakowski już prawie na łożu śmiertelnem się znajdujący, zebrał mnóstwo przedmiotów charakteryzujących sztukę i budownictwo górali zakopiańskich, a w dziele, wydanem staraniem krakowskiej Akademji umiejętności p. t. „Budownictwo ludowe na Podhalu“ ozdobionem mnóstwem rysunków i tablic i w ozdobnym atlasie pozostawił wszechstronną i dokładną monografję stylu zakopiańskiego.

W r. 1892 stanął pierwszy dom zbudowany w stylu dawnych chat góralskich, a mianowicie koliba p. Gnatowskiego, za nim poszły inne jak np. przepiękny dom pp. Pawlikowskich, którego model tak niefortunnie przeszedł losy na wystawie paryskiej. „Styl zakopiański tak w budownictwie, jak i w sprzętach domowych, w umeblowaniu i t. d. coraz szersze dzisiaj znajduje zastosowanie, ba! nawet niedawno zmarły John Ruskin, który otrzymał od córki Sienkiewicza obfity zbiór zdjęć fotograficznych okazów stylu zakopiańskiego uderzony został nadzwyczajną oryginalnością, tego stylu polskiego (jak go nazywa), a w słynnej fabryce porcelany w Sevres zastosowano modele naczyń rzeźbionych, góralskich do wyrobu serwisu filiżanek. Obecnie nawet cudzoziemcy zwracają się do Witkiewicza z prośbami o plany, szkice i rysunki.

P. Eliasz-Radzikowski stawia ponadto opartą na pewnych podstawach hipotezę, że dzisiejsza chata góralska na Podhalu jest prototypem dawnej prastarej chaty polskiej, gdyż motywy jej dadzą się odszukać także gdzieindziej na ziemiach polskich, jak n. p. w Sławkowie w Królestwie polskiem, w Nawojowej za Nowym Sączem i t. d.

Książeczka p. Eliasza-Radzikowskiego powinna się znaleść na stoliku każdego inteligentniejszego Polaka, gdyż daje w niej autor dokładną charakterystykę i opisanie nowego stylu, z zapałem przepowiada przewrót w całem budownictwie polskiem, polemizuje z kierownikami zakopiańskiej szkoły przemysłu drzewnego, zwyradniającymi samodzielne motywa góralskie, słowem zwiastuje nową erę w architekturze naszej. Tekst uzupełniają pięknie wykonane ryciny i pięć osobno dołączonych fototypicznych reprodukcji budynków wzniesionych według stylu zakopiańskiego.

Fr. Jaw.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.